Lester del Rey

A orkiestra grała

(The Band Played On)

Infinity Science Fiction, June 1957
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Rozdział I

Na terenie bazy orkiestra grała nieśmiertelny „Marsz Bohaterów”, zaś kadeci strzelali obcasami wykonując końcowe manewry pokazu musztry. Kapitan Thomas Murdock zatrzymał się przy bramie, koło sektora dla gości, czekając aż wybrzmią ostatnie pompatyczne nuty, po których nastąpił tradycyjny aplauz ze strony dzieciaków z miasta, stojących na trybunach. Kadeci złamali swoje szeregi i rozeszli się do sal wykładowych, idąc tak, jakby w głowach ciągle grała im orkiestra.

Być może tak było, pomyślał sobie Murdock. Piętnaście lat temu, gdy jego grupa zdobyła emblematy z rakietami, na Wyspie Johnsona było niewiele pokazów musztry i znacznie mniej muzyki; a jednak czuło się wtedy poczucie misji, jak bijący w głowach werbel, który również i ich krokom nadawał tę samą sprężystość. Doprowadziło ono większość z nich do rychłej śmierci, a jedynie bardzo niewielu na stanowiska dowódcze na księżycu, na długo przedtem, zanim baza została przeniesiona tutaj, na wybrzeże Florydy.

Murdock wzruszył ramionami i popatrzył w niebo. Zbliżały się groźne chmury, pędząc po niebie czarnymi plamkami i smugami, a prędkość wiatru rosła. Podczas startu zapowiadała się kiepska pogoda, nawet jeśli sytuacja się nie pogorszy.

Gdzieś zza pleców doleciał go krzyk chłopca:

— Hej, panie pilocie!

Rozejrzał się wokół siebie, ale w pobliżu nie było żadnego innego pilota. Zawahał się, marszcząc brwi. Potem, kiedy okrzyk się powtórzył, odwrócił się w stronę trybun. Ku jego zaskoczeniu, przez barierkę wychylał się chłopiec, mniej więcej dwunastoletni, przywołując go ręką i energicznie wymachując notatnikiem.

— Mogę dostać autograf, panie pilocie?

Murdock wziął notes i automatycznie podpisał się na pustej stronie, obserwowany przez pięćdziesiąt par oczu. Oddał chłopcu notatnik i ołówek, próbując zmusić twarz do ułożenia się w przyjacielski uśmiech. Kiedy odwrócił się i ruszył przez opustoszały plac parad, na chwilę, wypełnił go cień dawnej dumy.

Nie trwało to długo. Z tyłu, przerwał ciszę starszy głos, stwierdzając zdegustowanym tonem:

— Mały, po co to zrobiłeś? Przecież on nie jest żadnym pilotem!

— Nieprawda, jest. Wiem przecież jak wygląda mundur pilota — zaprotestował malec.

— Co z tego? Mówiłem ci o nim. To tylko śmieciarz!

Nie było żadnej odpowiedzi – tylko odgłos wydzieranej z notatnika kartki papieru.

Murdock nie odwrócił się do tyłu aby popatrzeć na stojących na trybunach chłopców. Przeszedł przez plac, minął budynki szkoły, zmierzając do głównej części bazy – części biznesowej, w której

utrzymywana była linia dostaw na stację kosmiczną i księżyc. Praca, powiedział sobie, to zawsze praca. Były to słowa, których z pewnością by nie użył sześć statków i piętnaście lat temu.

Zauważył, że na wieży kontrolnej podniesiona była flaga burzowa. Co gorzej, liny mocujące, kotwiczące trzystopniowe rakiety na ich stanowiskach startowych, były mocno napięte. Na polu startowym nie było tankowców, ani traktorów, obsługujących wielkie statki. Popatrzył przez gęstniejący mrok w stronę zatoki, ale na niej również nie było widać żadnego ruchu. Wszystkie łodzie odzyskujące człony rakiet, stały w porcie, ze złożonymi dźwigami. Widać było, że nie przewidywano żadnego lotu.

Nie zgadzało się to z prognozami. Huragan Greta popędził na północ, w morze, a niski pułap chmur i silne wiatry, miały wyznaczać koniec tych zaburzeń atmosferycznych i powinny zaniknąć w trakcie dnia. Nie zapowiadało się na to; wyglądało bardziej, jakby meteorolodzy ze stacji kosmicznej pomylili się, po raz pierwszy w ciągu dziesięciu lat.

Murdock popatrzył wzdłuż rzędu statków na swój, stojący w pewnym oddaleniu od innych i kołyszący się lekko pod uderzeniami wiatru. Wyciągnięcie go na górę, przez te zakłócenia pogodowe będzie prawdziwym piekłem, nawet jeśli dostanie zgodę na start. Nie mógł jednak dłużej czekać. Greta już opóźniła go o cztery dni, w stosunku do normalnego rozkładu, i liczył, że dzisiaj uda mu się polecieć.

Na baraku meteorologów wywieszony był najnowszy biuletyn, otoczony przez grupę młodych majorów i pułkowników ze składu pilotów. Murdock przeszedł koło nich i wszedł do budynku. Ucieszył się, widząc, że na służbie był Collins, jeden z paru techników, którzy pozostali z dawnych czasów na Wyspie.

Collins studiował mapy ze zmarszczonym czołem. Uniósł do góry wzrok i zasalutował mu niedbale, nie wstając.

— Cześć Tommy. Jak tam świński biznes?

— Kiepsko — odparł mu Murdock. — Będę miał całą gromadę głodnych świnek, jeśli nie załatwię sobie kolejnego ładunku z góry. Co z tymi sygnałami burzowymi? Myślałem, że Greta już sobie poszła.

Collin wyciągnął ostatniego papierosa z paczki i przypalając go pokręcił głową.

— To jest Hulda, przynajmniej tak mi powiedziano. Nasi geniusze ze stacji kosmicznej przegapili ją – twierdzą, że Hulda była przesłonięta przez Gretę, dopóki nie zrobiła się większa. Właśnie zaczynamy ją odczuwać. Nie będzie lotów, może przez kolejne pięć dni.

— Do diabła! — było gorzej niż Murdock się obawiał. Przekręcił mapę pogodową, żeby jej się przyjrzeć, niedowierzając. W odróżnieniu od młodych pilotów, spędził wystarczająco dużo czasu w barakach meteorologów, żeby umieć czytać mapy pogody i obrazy radarowe niemal równie dobrze jak Collins. — Bill, stacja chyba nie mogła pomylić się aż tak bardzo!

— A jednak się pomyliła. Coś tam na górze się dzieje. Bailey i inne szychy, mają teraz w związku z tym mnóstwo nasiadówek, w Komunikacji. Rozrasta się to w pierwszorzędny bajzel.

Jeden z dalekopisów zaczął stukać i Collins odwrócił się w jego stronę. Murdock wyszedł na dwór, gdzie zaczynał już siąpić rzadki deszczyk, który chłostał wszystko, niesiony mocnymi podmuchami wiatru. Skierował się do wieży kontroli lotów, zdając sobie sprawę, że to pewnie nic nie pomoże. Co do tego, miał rację; pozwolenie na lot nie może zostać wydane bez zgody generała Baileya, a generał Bailey najwidoczniej ciągle jest zajęty na naradzie.

Pożyczył kaptur przeciwdeszczowy i ruszył przez pole startowe do swojego statku. Deszcz robił się coraz mocniejszy i kiedy doszedł do swojej Mollyann, statek trzeszczał i jęczał na stanowisku startowym. Zakotwiczenie zostało jednak wykonane całkiem solidnie i z tego co widział, nie było żadnego zagrożenia. Sprawdził przyrządy i rejestry stanowiska. Statek został wyładowany ciężkimi maszynami, a zbiorniki jego członów zatankowane do pełna. Przynajmniej, jeśli uda mu się zdobyć pozwolenie, był gotów do startu. Mollyann była najstarszym statkiem na lądowisku, ale jej przypieczone przez tarcie poszycie, skrywało zdrową konstrukcję, a on sam osobiście nadzorował jej ostatni gruntowny przegląd.

Poczuł, że wiatr nasilił się jeszcze bardziej i żołądek skręcił mu się w supeł. Przesunął się na zawietrzną stronę statku, przeklinając meteorologów ze stacji. Gdyby poprawnie przewidzieli całą sytuację, mógłby zaaranżować start w okresie względnego spokoju miedzy burzami. Co prawda nawet wtedy, byłoby to niezbyt przyjemne, ale teraz…

Nagle powietrze przeciął, serią krótkich sygnałów, szarpiący dźwięk syreny, oznaczający odprawę dla pilotów. Murdock zawahał się, a potem wzruszył ramionami i ruszył przez deszcz. Gdyby chciał, mógłby zignorować sygnał, ponieważ już od lat nie był przydzielany do służby, poza sytuacjami, kiedy rzeczywiście wyznaczano mu lot. Ale to była pewnie jego najlepsza szansa, aby zobaczyć Baileya. Szedł powoli, podczas gdy inni piloci zmierzali przez lądowisko w stronę budynku odpraw, niemal biegiem. Nawet teraz, cali mokrzy i ubrudzeni błotem, wyglądali jak na pokazie musztry, tak jakby werbel ciągle bębnił im w głowach.

Murdock, zgodnie ze swoim starym zwyczajem, znalazł sobie siedzenie z tyłu, z dala od innych. Z przodu trwała zaimprowizowana gra w kości, inni siedzieli w niewielkich grupkach, ich młode twarzy były zbyt otwarte i ufne. Nikt go nawet nie zauważył, dopóki pułkownik Lawrence Hennings nie podniósł głowy znad kości.

— Cześć, Tommy. Chcesz zagrać?

Murdock pokręcił przecząco głową, lekko się uśmiechając.

— Nie mogę sobie na to pozwolić w tym tygodniu — wyjaśnił.

Zarobki były jawne, każdy mógł o nich rozmawiać – także facet wożący śmieci ze stacji. Obecnie Hennings był ważny, nawet pośród tych pewnych siebie bohaterów. Zawsze musiał być ktoś, kto pełnił rolę przewodnika stada. Dzisiejsza pozycja Henningsa od początku wydawała się równie nieunikniona, jak Murdocka.

Do diabła, przecież ktoś musiał zwozić śmieci ze stacji. Ludzie na niej, nie mogli tak po prostu wyrzucać ich w kosmos, ponieważ podążałyby za

nimi na orbicie i zbierały się wokół nich. Rozważano wystrzeliwanie śmieci, aby spalały się w ziemskiej atmosferze, ale na dłuższą metę wymagałoby to większych ilości paliwa, niż zwożenie ich statkiem. Przy niemal ośmiuset ludziach na podwójnie powiększonej stacji, było również całe mnóstwo śmieci. Praca była równie ważna, jak wożenie na górę zapasów i wymagała równie dużych umiejętności pilotażu. Tylko, że przy starcie statku śmieciarza, nie było orkiestry i żaden śmieciarz nigdy nie zdobędzie lauru bohatera.

Po prostu miał tego pecha, by pilotować ich pierwszy ładunek na dół. Podczas lądowania gorąco przebiło się przez rozgrzane poszycie części ładunkowej i śmieci zagotowały się, a ich opary rozeszły się po całym statku. Śmieci przywarły też do kadłuba, kiedy zaczął on stygnąć i żadne ilości wody nie mogły ich już zmyć do końca. Po tym wydarzeniu, statek uznano za nienadający się do niczego, poza zwożeniem na dół kolejnych transportów śmieci i wwożeniem na górę takich rzeczy, jak elementy maszyn, dla których smród był nieistotny. On zaś natychmiast poszedł w odstawkę, stając się pariasem pomiędzy pilotami. Prawdopodobnie była to tylko wyobraźnia, ale byli ludzie zaklinali się, że nie mogą spać z nim w jednym pokoju.

Początkowo traktował to jako coś w rodzaju żartu, czekając na przeniesienie na koniec roku. W końcu zgodził się zostać na drugi rok, kiedy nie mogli znaleźć nikogo innego do tej roboty. A na koniec piątego roku, wiedział już, że ugrzązł. Nawet przeniesienie nie wymaże jego reputacji jako śmieciarza, nie da mu awansu, ani szansy na dowodzenie innymi. Och, zajęcie to dawało pewną swobodę, ale gdyby tylko znalazł poza służbą cokolwiek, co mógłby robić…

Nagle otworzyły się boczne drzwi i do środka wszedł generał Bailey. Wyglądał starzej, niż na swoje czterdzieści lat, a wyraz jego twarzy, niemal natychmiast otrzeźwił pilotów. Poświęcił trochę czasu na zajęcie krzesła za stołem, dając im szansę na doprowadzenie się do porządku. Murdock spiął się wewnętrznie, obserwując jak generał wyjmuje papierośnicę. Potem, kiedy postukał nią ostro w stół, żeby wysunąć papierosa, skinął głową. Będzie wezwanie dla ochotników! Przez głowę przemknął mu obraz panującej na zewnątrz pogody, skręcając mu żołądek, ale przesunął się na przód fotela, gotów do natychmiastowego powstania.

— Spocznij, panowie — Bailey zapalił papierosa, i dopiero potem zagłębił się w sedno sprawy. — Wielu z was przeklina stację, za ich dzisiejszą prognozę. No cóż, dajcie z tym sobie spokój – mamy cholerne szczęście, że w ogóle zauważyli Huldę. Mają naprawdę poważne kłopoty. Wiecie co to jest akroleina? Wszyscy skończyliście szkolenia z atmosferyki. Co o niej wiecie?

Odpowiedź padła w częściach, od kilku pilotów. Akroleina była jedną z trzydziestu paru trucizn, które musiały być odfiltrowywane z powietrza na stacji, chociaż nie sprawiała ona żadnego problemu w ogromnej atmosferze ziemskiej. Mogła się dostać do powietrza w wyniku zbyt długiego gotowania jajek, czy też spalenia kilku protein.

— Może wydzielać się także z pewnych mas plastycznych — dodał jeden z ludzi.

Bailey przytaknął.

— Może. I w ten właśnie sposób stało się to na stacji, po wypadku w warsztatach. Wydobyło się tyle akroleiny, że przeciążyła ona ich filtry, a nie mieli wystarczającej liczby zapasowych, aby to opanować. Wszyscy tam na górze są podtruci – dostatecznie mocno, aby na razie przytępiło to ich myślenie, ale przez cały czas sytuacja się pogarsza. Nie mogą czekać, aż minie Hulda. Muszą natychmiast otrzymać nowe filtry. A to oznacza…

— Panie generale! — Henning poderwał się już na nogi, stojąc wyprostowany jak lanca w osadzie u siodła. — Mówię w imieniu całej mojej załogi. Proszę o pozwolenie na dostarczenie wszystkiego, czego potrzebuje stacja.

Murdock został wyprzedzony w ostatniej chwili przez nagły ruch Henningsa, ale teraz również już stał, protestując. Po dźwięcznym głosie młodszego pilota, jego brzmiał jakby dudnił w jakiejś dziurze.

— Już jestem opóźniony w stosunku do harmonogramu i mam prawo…

Bayley przerwał mu, kiwając głową do Henningsa.

— Dziękuję, panie pułkowniku. Natychmiast rozpoczniemy załadunek, a kontrola lotów opracuje wasze taśmy. No dobrze, rozejść się! — Potem, zwrócił się w końcu do Murdocka. — Dzięki, Tom. Zapamiętam sobie twoje zgłoszenie, ale przede wszystkim nie mamy czasu na uprzednie rozładowanie twojego statku. Obawiam się, że jesteś uziemiony na czas trwania burzy.

Wyszedł szybko, z Henningsem beztrosko podążającym tuż za nim.

Pozostali zaczęli się rozchodzić, gderając ze sporym podziwem na szybkość Henningsa. Murdock poszedł ich śladem, ponieważ teraz nie było już szans na zmianę rozkazów dla niego. Zastanawiał się, jakiej wymówki mogliby użyć, gdyby udało mu się zgłosić jako pierwszemu, i gdyby jego statek był pusty. Pilot został prawdopodobnie wybrany jeszcze przed ogłoszeniem wezwania dla ochotników, i był pewien, że jego nazwisko nie było brane pod uwagę.

Kiedy ruszył przez pole startowe, burza zdawała się ustawać, ale to było jedynie chwilowe uspokojenie. Zanim udało mu się dotrzeć do schronienia w baraku meteorologicznym, znowu zaczął walić grad, jeszcze mocniej niż przedtem. Zatrzymał się w drzwiach, żeby trochę otrząsnąć się z wody. Collins uważnie studiował jeden z ekranów radarowych, na którym dalekie piknięcia pokazywały panujące obecnie warunki, równolegle pracując na kalkulatorze i krzycząc coś do telefonu. Uniósł głowę, wykonał palcami rozpaczliwy gest prośby o papierosa, a następnie wrócił do swego telefonu.

Murdock podał mu zapalonego papierosa i przesunął sobie stołek pod okno, przez które mógł obserwować pole startowe. Prawdę mówiąc, powinien wrócić na swoje gospodarstwo i zrobić tam wszystko, co się dało, ale nie miał zamiaru odjechać stąd przed startem. Lot statku przy takiej pogodzie, była to w większości teoria. Kiedyś już trzeba to było zrobić, na Wyspie, ale wielkie statki ciągle były zbyt mało stabilne, aby traktować taką możliwość za coś innego niż rozpaczliwy środek wyjątkowy. Po

tamtym locie, rozmawiał z pilotem i spędził mnóstwo czasu, próbując wypracować sposób jego przeprowadzenia, na wypadek gdyby to on musiał kiedyś polecieć w takich warunkach. Właściwie to współczuł Henningsowi. Poradzenie sobie z tą sytuacją, wymagało czegoś więcej, niż tylko odwaga i pewność siebie.

Przyglądał się burzy, próbując ją wyczuć. Kiedyś, w czasie dwóch pierwszych lat spędzonych tutaj, poświęcił sporo swego wolnego czasu na latanie lekkim samolotem, i czasami pogoda wtedy była naprawdę paskudna. Dało mu to pewne pojęcie, czemu musi stawić czoła Hennings; zastanawiał się, czy młodszy pilot zdaje sobie sprawę z tego, co go czeka.

Pole startowe było oświetlone lampami sodowymi, widział więc, jak zebrani koło Jennilee Henningsa ludzie, ślizgają się i przewracają w błocie, przygotowując ją do startu i ładując pakunki z filtrami. Dwójka ludzi wjeżdżała windą do włazu załogowego; Hennings zabierał zarówno drugiego pilota, jak i radiowca, chociaż wielu z pilotów korzystało obecnie tylko z jednego członka załogi.

Collins uniósł wzrok znad telefonu.

— Piętnaście minut do zero — poinformował go.

Murdock chrząknął z zaskoczeniem. Spodziewał się, że start nastąpi dwie godziny później, podczas następnego przelotu stacji. Musiało to znaczyć, że rozkazy rozpoczęcia załadunku zostały wydane jeszcze zanim Bailey przyszedł na odprawę. Potwierdzało to jego podejrzenie, że pilot wybrany został z góry.

Kilka minut później pojawił się Hennings, maszerując przez pole startowe w stronę windy, razem z niewielką grupą ludzi. Kilku z nich miało wjechać na górę razem z nim. Kiedy winda szczękając ruszyła z powrotem, pilot stał wyprostowany w luku, uśmiechając się do fotografii. Naturalnie prasa była odpowiednio dobrana. Służba nauczyła się już dawno temu, że maksimum rozgłosu pomagało w osiągnięciu maksymalnie możliwych zysków.

Kiedy właz został w końcu zamknięty, a pole startowe oczyszczone, Murdock pochylił się nad ladą, aby przejrzeć ekrany radarowe. Burza najwidoczniej zachowywała się nieregularnie, jak mógł dostrzec z zamglonych obrazów. Jednak, obecna godzina zero nie była najlepszym wyborem na start. Z tego co mógł ocenić, Hennings lepiej by zrobił opóźniając go i dokonując ręcznych poprawek na swojej taśmie.

W tym momencie zabrzmiała syrena, ogłaszając start. Ostatni ludzie na polu startowym pośpiesznie biegli do schronów. Ze stanowiska startowego, jak zwykle kiedy wystrzeliwano rakiety, zaczął buchać ciemno czerwony płomień. Murdock zaklął. Ten głupiec startował zgodnie z rozkładem, ufając swoim taśmom!

Przydymiona czerwień gazów wyrzutowych, przebiegła w górę całe spektrum zmieniając się w niebieski, i statek zaczął lekko podrygiwać. Po chwili Jennilee zaczęła się unosić. Wtedy nagłe uderzenie wiatru zepchnęło ją w stronę obrzeża stanowiska startowego. Skrzydła górnego członu złapały większość jego siły i całe to cholerstwo zaczęło się przechylać – najgorsza rzecz, jaka mogła się wydarzyć. Powinni przekręcić statek wokół

osi, tak by skrzydła ustawione były równolegle do najgorszych podmuchów burzy, zamiast z nimi walczyć.

Murdock usłyszał jak Collins chrapliwie łapie oddech, ale nagle chwila zagrożenia minęła. Przejściowe uspokojenie się wiatru, na jakąś sekundę lub dwie, dały Henningsowi szansę na opanowanie sytuacji. Przejął sterowanie od automatyki. Dysze rakiet strzeliły na boki niebieskimi sztyletami odrzutu i dół statku się przesunął, wyrównując jego położenie. Teraz mógł zacząć naprawdę się wzbijać. Skrzydła u góry statku dosłownie wibrowały, jak ramiona kamertonu, a ślad gazów odrzutowych był postrzępiony. A jednak statek szedł w górę, ryk jego silników narastał i opadał, w miarę jak zmieniał się wiatr, unoszący znaczną część jego siły z dala od obserwatorów.

Po chwili zaczęło się wyczuwać efekt Dopplera i kiedy Jennilee wzbijała się coraz wyżej, odgłos silników obniżył ton. Zasłona z wiszących chmur skryła wszystko, poza jasnym blaskiem gazów wyrzutowych.

Murdock razem z technikiem, odwrócili się do jednego z ekranów radarowych. Odmiennie niż ten w Kontroli Lotów, nie był on dobrze ustawiony, aby wychwycić statek, ale ma skraju obrazu widać było rozmyty kształt.

— Prosto w najgorszą część huraganu! — zaklął Collins.

Rozdział II

Miał rację. Wszystko układało się najgorzej, jak to było możliwe. Jasny duży punkt światła na ekranie, w widoczny sposób był rzucany na wszystkie strony. Wyglądało to, jakby coś złapało go z góry i z całej siły nim potrząsało.

Ekran ściemniał, a potem ponownie się rozjaśnił. Collins zmienił sposób połączenia, wpinając się do sygnału obserwowanego przez Kontrolę Lotów. Punkt na ekranie oznaczający Jennilee znajdował się teraz w samym środku ekranu, próbując wznosić się stopniowo po normalnej krzywej synergii.

— Bierz go szybciej do góry, do diabła! — gorąco zaklął Murdock.

Kiedy statek znajdzie się ponad burzą, nie będzie czasu na okrążanie Ziemi. Taśma dla automatycznego pilota powinna być przygotowana, na przyjęcie początkowo jak największego kąta wznoszenia. Jeśli Hennings spanikował i po przejęciu sterowania wrócił do zwykłej orbity…

Tak jakby pilot usłyszał jego słowa, punkt na ekranie zaczął się znowu wznosić. Rzucało nim na boki i kręciło. Zdawało się, że coś się od niego oddziela. Na ekranie widać było unoszącą się za statkiem, chmurę porozrzucanych białych kropek. Murdock nie miał pojęcia co to może być. Po chwili zapomniał o tym, ponieważ od statku oddzielił się pierwszy człon i zaczął spadać ogromnym łukiem w kierunku oceanu. Jego odzyskanie będzie trudne. Po chwili odpaliły silniki drugiego członu. W końcu statek znalazł się nad burzą i mógł naprawdę zacząć lot do swego celu.

Nagle z trzaskiem obudził się do życia wiszący w kącie głośnik i zabrzmiał z niego głos Henningsa.

— Jennilee do Bazy. Możecie odwołać harfy i chóry! Przebiliśmy się!

Collins uderzył dłonią w przełącznik, uciszając głośnik.

— Mądrala! — oznajmił szorstko, ale w jego głosie słychać było nutę podziwu. — Dziesięć lat temu nie potrafiliśmy budować statków, które by wytrzymały tyle co jego. Pyszałek latający na automatach! Masz papierosa, Tommy?

Murdock dał mu całą paczkę i ponownie założył na głowę plastikowy kaptur. Widział już dosyć. Statek nie powinien mieć dalszych problemów, poza może jakimiś drobnymi poprawkami orbity, absolutnie w zasięgu możliwości pilota. Pod tym względem, chociaż w stwierdzeniu Collinsa kryło się sporo prawdy, Hennings zasługiwał na znaczną dozę zaufania. A jeśli lubił się nieco przechwalać – no cóż, być może zasłużył również na trochę luzów, za to że tak szybko wskoczył w tory normalności, po wycisku jaki musiało otrzymać jego ciało i nerwy.

W sali wypoczynkowej paru pilotów zajmowało się bajerowaniem nowicjuszy, niebezpieczeństwem lotu Henningsa, robiąc z niego taki bohaterski wyczyn, jakiego nie było jeszcze nigdy w całej historii. Murdock znalazł telefon, przy którym miał trochę prywatności i zadzwonił do Pete’a i Sheili, żeby im powiedzieć kiedy wraca – oraz że wraca bez ładunku z góry. Ale oni także słyszeli już nowiny. Szybko przerwał połączenie i poszedł przez rozmokłe pole startowe, przeklinając swoje wypełnione wodą buty. Z audytorium w szkole słychać było próbę orkiestry; przez chwilę krążyła mu po głowie myśl, czy rytm bębna mógłby spowodować, że kadeci będą się czuli jak bohaterzy, maszerując przez błoto z cmokającymi przy każdym kroku butami. Na niego nie miał tak wzniosłego oddziaływania.

Parking, za placem do musztry, był niemal opustoszały, a jego wielka ciężarówka wyglądała jak zmagający się z wiatrem, samotny stary bizon. Uruchomił turbinę i włączył ogrzewanie w kabinie, zrzucając z nóg przemoknięte buty. W wilgotnym powietrzu wisiał niesiony z tyłu zaduch odpadów i świń, ale był do niego przyzwyczajony, a w każdym razie było to i tak lepsze niż maszynowo-ludzko-chemiczny odór stacji kosmicznej.

Prowadzenie samochodu pochłonęło większość jego uwagi. Ciężarówka była stosunkowo mało wrażliwa na uderzenia wiatru, a drogi były niemal puste, ale zasięg widoczności był mocno ograniczony, a z maski silnika unosiła się para, pomimo silikonowego pokrycia. Wlókł się więc powoli do przodu, gderając pod nosem na ładowanie pieniędzy w superautostrady dla turystów, kosztem wydatków na boczne drogi.

Kawałek drogi za bazą, znalazł się na terenach rolniczych. Wyglądały zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał, kiedy po raz pierwszy się tu pojawił. Spodziewał się, że na Florydzie rosną tylko palmy i cytrusy, chociaż mgliście zdawał sobie sprawę z tego, iż był to jeden ze stanów o największej produkcji bydła. Ta część może nie wyglądała dokładnie tak samo jak region Iowy, w którym dorastał, ale również specjalnie się od niego nie różniła.

To Pete Crane mu go pokazał. Akurat właśnie Pete odszedł na emeryturę po dwudziestu latach służby i szukał jakiegoś zajęcia. Znalazł małą farmę dwadzieścia mil od bazy i podszedł do Murdocka w nadziei zdobycia dostępu do resztek ze stacji jako pokarmu dla świń, które miał zamiar kupić. Kontraktor, który zajmował się śmieciami Bazy, nie chciał tykać odwodnionych, nieco przypalonych odpadów i pozbywanie się ich zawsze było problemem.

Skończyli jako partnerzy, posiadający stałe prawa do wszystkich odpadów ze stacji. Siostra Pete'a, Sheila, dołączyła do nich, aby prowadzić im dom. To było dużo lepsze niż mieszkanie w hotelach i dawało pierwszą nadzieję na przyszłość, jaką Murdock w ogóle miał. Nie miał innych planów na życie, po przymusowej emeryturze po dwudziestu latach, chyba że jego zgłoszenie do służby na Księżycu, zostanie przyjęte – co wydawało się nieprawdopodobne, ponieważ przekroczył już limit wiekowy trzydziestu pięciu lat. Farma nadała także pewien sens jego pracy jako śmieciarza na stacji.

Przez dwa lata wszystko szło dobrze. Być może stali się wtedy zbyt pewni siebie. Utopili wszystko w nowe budynki coraz większe ilości żywego inwentarza. Kiedy sąsiednia farma nagle stała się dostępna, wykorzystali cały swój dostępny kredyt do przejęcia jej hipoteki, nie zostawiając sobie żadnego marginesu na czarną godzinę. A kłopoty nadeszły, kiedy Pete wpadł pod traktor, w którym jakoś włączył się bieg. Musiał spędzić pięć tygodni w szpitalu, a jego ubezpieczenie zdrowotne wystarczyło na pokrycie jedynie części kosztów. Teraz, kiedy Hulda uniemożliwiła krytycznie potrzebną podróż na stację…

Ciężarówka pokonała ostatnie pół mili i wjechała na podwórze farmy. Murdock zaparkował ją koło frontowych drzwi i wyskoczył z szoferki prosto do środka. Wrzasnął głośno i dziko podskakując podbiegł do piecyka naftowego, próbując sobie ogrzać stopy na cieplejszej podłodze koło niego. Dom zbudowany był lepiej niż większość innych na Florydzie, ale to nie znaczyło zbyt wiele. Nawet przy działającym piecyku, pewnie cieplej było w nowym chlewie dla świń.

Sheila przyszła z kuchni przez jadalnię, spostrzegła mokre nogi Murdocka i pośpieszyła do jego sypialni. W ciągu sekundy wróciła z suchymi rzeczami.

— Przebierz się tam, gdzie jest ciepło. Lunch będzie gotów za parę minut — powiedziała, nastawiając twarz do pocałunku.

Sheila nie była piękna i ewidentnie nie dbała o to. Matka Murdocka pewnie nazwałaby jej prostą urodę, „zdrową", oraz określiłaby jej ciało o lekkiej nadwadze, jako „krzepkie". On wiedział tylko, że jemu się podobała, była o tyle niższa, że czuł się wygodnie, oczy miała przyjemnie niebieskie, zaś włosy w takim odcieniu brązu, który zdawał się do niej pasować.

Przyciągnął ją do siebie, ale wykręciła się po krótkim pocałunku.

— Pete pojechał do miasta, zdobyć jakąś pomoc. Wróci lada chwila — ostrzegła go.

Uśmiechnął się i pozwolił jej odejść. Przeszli przez romantyczny okres odkrywania siebie nawzajem na tyle dawno, by obecnie czuć się już ze

sobą wygodnie, poza sporadycznymi sprzeczkami, kiedy nie chciała czekać. W większej części, jednak, akceptowała ich umowę. Za kolejnych osiem miesięcy będzie miał trzydzieści sześć lat i będzie za stary, aby uzyskać przydział na Księżyc. Jeśli go nie otrzyma, pobiorą się. Nie miał jednak zamiaru wiązać jej ze sobą, gdyby jednak poleciał, ponieważ szansa na zabranie jej ze sobą, była niemal zerowa. Pete również popierał go, jeśli chodzi o tę decyzję.

Wślizgnął się w nowe ubranie i suche buty, a potem przeszedł do jadalni, gdzie czekał na niego gorący posiłek. Przynajmniej ich kredyt w miejscowym sklepie spożywczym, między dniami wypłaty, był dobry. Kiedy jedli, opowiedział jej o tym, co się stało. O pełnej godzinie włączył telewizję, aby obejrzeć wiadomości. Oczywiście, były wypełnione informacjami o zagrożeniu dla stacji i akcji ratunkowej. Większość z nich wydawała się poświęcona wejściu Henningsa do statku i wysoce podkoloryzowanym opisom jego lotu. Ale przynajmniej dowiedział się, że lot został udanie dokończony. To była dobra reklama dla służby. Pod obrazki podłożono ścieżkę dźwiękową orkiestry grającej „Marsz Bohaterów". Może to także była dobra reklama. Musiał przyznać, że Hennings lepiej pasował do tej muzyki, niż on kiedykolwiek byłby w stanie.

Na chwilę hałas wiatru na dworze ucichł, i do jego uszu doleciał inny odgłos. Świnie wiedziały, że minął czas ich karmienia i wszczęły zamieszanie. Murdock skrzywił się. Odsunął się od stołu, czując się niemal winny, że sam się najadł, i wygrzebał z szafy ubrania przeciwdeszczowe. Z niechęcią myślał o wyjściu znowu na deszcz, ale zwierzęta musiały zostać nakarmione.

Usłyszały, że się zbliża i wszczęły jeszcze większą wrzawę. Pochylił się, walcząc z wiatrem, i ruszył biegiem, ponownie mocząc nogi w jakiejś kałuży. Ale wewnątrz budynku było cieplej niż w domu, tak jak się spodziewał. Uniósł pokrywę podgrzewacza paszy i zaczął nalewać jedzenie do koryt. Jego wiadro zaszurało o dno podgrzewacza, podczas gdy gładkie świnie Polskie Porcelanowe, walczyły i przepychały się koło miejsca gdzie je opróżnił. Od wczoraj były na połowie racji, i widać było, że były głodne.

Przerwał, kiedy wykorzystał połowę tego co było w podgrzewaczu i skierował się do następnego budynku. Po drodze przystanął, żeby daremnie rzucić okiem do wielkiego baraku magazynowego, ale znał odpowiedź już przedtem. Pete wykorzystał ostatni worek ziarna, gotując paszę na dzisiaj. Już jakiś czas temu wyczerpali resztki jedzenia ze stacji i przeszli na drogie pasze komercyjne, zazwyczaj używane tylko jako dodatki. Cholerna Greta i cholerna Hulda! Gdyby tygodniowe prognozy były właściwe, mógłby załatwić sobie lot poza harmonogramem, przed burzami, i nie byłoby wtedy tego całego bałaganu.

Gorzej było w chlewie dla macior. Świnie zdawały się wiedzieć, że mleko dla ich prosiaków zależy od karmy jaką dostaną. Ich porcje były nieco większe, ale i one znikły z koryt, kiedy się temu przyglądał. Zwierzęta walczyły o ostatnie resztki i zaczęły biegać, szukając więcej. Były na tyle sprytne, że znały źródło pożywienia i patrzyły na niego,

wyrażając swoje żądania w elokwentnej świńskiej mowie. Nie były takie jak inne zwierzęta. Krowy były za głupie, żeby zrozumieć, że są oszukiwane, owce zawsze beczały, nawet gdy wszystko szło dobrze. Ale świnie potrafiły niemal przeklinać po angielsku, kiedy je okradano, tak jak te robiły to teraz. Nawet prosiaki piszczały niespokojnie, współczując swoim matkom.

Murdock usłyszał jak otwierają się za nim drzwi i odwrócił się, by zobaczyć wchodzącego Pete'a, przemoczonego do suchej nitki. Wyglądał na zmęczonego, a plecy ciągle miał jeszcze sztywne po wypadku, chociaż bardzo już mu się poprawiło.

— Cześć, Tom. Siostra mi powiedziała, co się stało na polu startowym. Dobre wieści, także. Ta pogoda nie nadaje się do latania. Jak długo potrwa zanim się przejaśni?

— Pięć dni! — powiedział mu Murdoch i zobaczył, że starszy mężczyzna aż się cofnął.

Być może do tego czasu świnie nie pozdychają z głodu, ale z pewnością ucierpią i stracą na wadze tyle, że później trudno będzie to nadrobić. Nie miał pojęcia, jak to wpłynie na mleko dla prosiaków, a wolał o tym nawet nie myśleć.

Zostawili piszczące świnie i wrócili do domu, żeby się przebrać, zanim Pete opowie o swoim szczęściu w miasteczku. Wydawało się, że wszystko się wali. Mogli dostać kredyt na dorastające świnie, albo część sprzedać, ale biorąc pod uwagę zbliżający się weekend musieliby czekać na pieniądze do czasu, kiedy ich już nie będą potrzebować. Ich kredyt w jedynym sklepie z paszami i ziarnem, został wykorzystany do końca.

Murdock zmarszczył brwi na tę wiadomość.

— Mówisz, że Barr nie zna nas na tyle, by nie wspomóc w takich wyjątkowych okolicznościach? Po tych wszystkich wspólnych interesach?

— Barr wyjechał na północ w jakichś sprawach — wyjaśnił Pete. — Jego przyrodni brat prowadzi interes. Twierdzi, że nie może podjąć tak odpowiedzialnej decyzji. Oferował się, że sam mógłby mi pożyczyć dwadzieścia dolców, ale nie z funduszy sklepu. A nie może znaleźć Barra. Niech to diabli, gdybym nie wpadł pod ten traktor…

— Gdybym! — parsknęła Sheila. — Gdybym nie nalegała, byście w pełni opłacili szpital, albo gdybym nie wydała tyle na wiosenne ubrania… Ile możemy dostać za mój samochód?

Pete wzruszył ramionami.

— Nawet połowa tego by wystarczyła, ale nie dostaniemy nic wcześniej niż we wtorek, może środę, po przeniesieniu prawa własności. Już pytałem w Circle Chevy. A co z prognozami pogody, Sheila? Przy naszym szczęściu, środek Huldy może przechodzić dokładnie tędy.

Wyglądało jednak, że nie ma takiego zagrożenia. Hulda podążała za Gretą i miała skręcić w morze, tak że najgorsze powinno ich ominąć. Murdock wiedział, że Bill Collins by do nich zadzwonił, gdyby farma znalazła się w niebezpieczeństwie. Ale przy kiepskich prognozach idących ze stacji, niczego nie można było być pewnym. Nowe budynki powinny wytrzymać huragan, ale…

Spędzili popołudnie próbując grać w kanastę i wsłuchując się w deszcz i wiatr, aż w końcu Pete z odrazą wrzucił karty do szuflady. Wcześnie usiedli do jedzenia, bawiąc się nim, aby zabić czas. W końcu obaj mężczyźni z niechęcią wyszli nakarmić zwierzęta. Tym razem wyskrobali dna podgrzewaczy do czysta. Nie było sensu rozkładać tak niewielkiej ilości karmy na dłużej, ani rozrzedzać jej.

Jak czułby się bohater, gdyby świnia spoglądała na niego głodnymi oczyma? Czy orkiestra wygrywająca misję w jego głowie, zagłuszyłaby szaleńcze piszczenie zwierząt? Murdock westchnął i ruszył otępiały w kierunku domu, z idącym tuż za nim Petem.

W drzwiach czekała na nich Sheila, kiwnięciem ręki nakazała ciszę i wskazała na odbiornik telewizyjny. W końcu nadeszły kolejne informacje o locie ratunkowym Henningsa. Na ekranie widać było rakietę trzeciego członu, widzianą ze stacji. Nawet bez komentarza prowadzącego program, widać było, że jej skrzydła są niemal zupełnie powykręcane i stan jej nie pozwala na lot powrotny. Respekt Murdocka dla odwagi Henningsa, podskoczył o kolejną podziałkę na skali. Po takich przejściach, prawdziwym cudem było, że w ogóle był jeszcze w stanie podjąć wysiłek rozmowy z bazą.

Wtedy zaczęła wypływać reszta wiadomości i nawet starannie dobrane słowa nie mogły spowodować, by brzmiała ona zbyt dobrze.

— …utrata części filtrów, po wyrwaniu włazu śluzy powietrznej podczas startu, była znaczna, uważa się jednak, iż dostarczone uzupełnienia wystarczą do czasu, kiedy będzie można podjąć kolejny lot. Doktor Shapiro, na stacji, stwierdza, że ludzie zdają się trzymać dobrze, poza dwójką dzieci. Przygotowywane są plany izolacji ich w specjalnym pomieszczeniu, z dodatkowymi filtrami…

To dzieci komandora Phillipsa, pomyślał Murdock. Pomimo wszystko, ten człowiek nie powinien trzymać ich tam, na górze. Ale ta sprawa z rozerwaną śluzą powietrzną…

Wtedy przypomniały mu się te mniejsze punkciki na ekranie radarowym, które oddzieliły się od Jennilee, zanim jeszcze odrzucono pierwszy człon. Zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie dokładniej jak to wyglądało. Przecież parę filtrów nie mogło pozostawić tak wielu śladów na radarze! Ale przy tym pośpiesznym pakowaniu statku, jakie obserwował, i po tym jak statek zaczął obracać się tak, że śluza skierowana była ku dołowi, mogło wysypać się aż tyle, by pozostawić taki ślad – prawdę mówiąc, niemal cały ładunek!

Ruszył do telefonu, ale po chwili pokręcił głową. Lepiej załatwić to osobiście. Złapał za ekspres swojego kombinezonu i skierował się do sypialni, podczas gdy Pete zmarszczył brwi, powoli zaczynając rozumieć, co się dzieje.

— Tom, nie możesz tego zrobić!

— Mogę spróbować — zawołał w odpowiedzi. — Sheila, rozgrzej ciężarówkę.

Ekspres się zaciął. Zaklął pod nosem, a potem dał sobie spokój. Przecież nie wybierał się na musztrę paradną. Założył czapkę od munduru, wskoczył w buty, które mogły dać jakąś ochronę przed błotem na polu

startowym i wsunął niezbędne papiery i karty w kieszenie kombinezonu. Mundurowa kurtka była już sucha i wykorzystał ją do przykrycia większości swojego ubrania roboczego.

— Mówili coś o planowanym kolejnym locie? — zawołał. To byłoby przykre, dotrzeć na pole startowe dokładnie w chwili, kiedy jakiś młody pilot startowałby, niwecząc jego ostatnie szanse.

— Nic. — Pete już otworzył drzwi jedna z jego wielkich rąk walnęła w ramię Murdocka. — Życzę ci szczęścia, ty idioto!

Rozdział III

Murdock wypadł na dwór i od razu wskoczył w otwarte drzwi ciężarówki. Próbował zsunąć Sheilę z siedzenia kierowcy, ale ona pokręciła głową i zaczęła dodawać gazu.

— Poradzę sobie z tym nie gorzej niż ty, Tom. Nie chcę, żebyś potem startował zmęczony prowadzeniem samochodu. I przestań tak na mnie patrzeć! Nie mam zamiaru mówić, co o tym wszystkim myślę!

Usiadł wygodnie w fotelu pasażera, wyciągając rękę, aby dotknąć ją lekko.

— Dzięki, kochanie — powiedział, kiedy ciężarówka skręciła z podjazdu i zaczęła nabierać szybkości na drodze.

Nie należała do kobiet mówiących o tym, jak bardzo martwi ją ryzyko jego pracy, tak jak robiły to nieraz żony innych pilotów. Przyjmowała to jako nieodłączną część jego osoby i akceptowała to, niezależnie od tego, co czuła. Teraz rozpędziła wielką ciężarówkę do maksymalnej bezpiecznej prędkości, tak jakby dzieliła jego zapał.

Po paru sekundach złapała jego dłoń w swoją i uśmiechnęła się, nie odrywając oczu od drogi. Odprężył się w swoim fotelu, pozwalając by świst wiatru i stłumione odgłosy burzy, wprawiły go w na wpół trans, odpoczywając na tyle, na ile było to możliwe. Powinien przemyśleć sobie, co powie Baileyowi, ale odpoczynek był ważniejszy.

Na wpół spał, kiedy ciężarówka zatrzymała się koło wartowni. Zaczął szukać po kieszeniach papierów, ale wartownik po oświetleniu jego twarzy, odwrócił się i coś zawołał. Z budki wypadł kapral, wskakując na stopień ciężarówki i sięgając do kierownicy.

— Generał Bailey oczekuje pana, sir, oraz panią — powiedział. — Ja zajmę się pańską ciężarówką.

Murdock chrząknął z zaskoczenia. Pete’owi musiało udać się przebić do samego Baileya. To mogło utrudnić bieg spraw, ale powinno przynajmniej oszczędzić czasu. To mogło być ważne, jeśli mieli wystartować, kiedy stacja znajdowała się w optymalnej pozycji.

Adiutant Baileya wyszedł do nich przed budynek sztabu, prowadząc ich bezpośrednio do prywatnego gabinetu generała i zamykając za nimi drzwi. Bailey obrzucił wzrokiem wygląd Murdocka, zmarszczył brwi i wskazał im ręką krzesła. Miał rozpięty kołnierzyk, a czapka leżała na biurku,

wskazując na nieformalny charakter spotkania. Przystawił butelkę do trzech czekających szklaneczek.

— Tom? Panno Crane?

Zdawał się potrzebować drinka bardziej niż oni. Twarz miał szarą ze zmęczenia, a ręka lekko mu drżała. Ale kiedy odstawił pustą szklaneczkę, jego głos brzmiał niemal normalnie.

— W porządku, Tom. Wiem, po co tutaj jesteś. Skąd ci przyszło do głowy, że jestem na tyle szalony, aby wysłać w tę pogodę kolejny statek?

— Pomyślałem sobie o dwójce dzieci, tam na górze, które mogą umrzeć — odparł Murdock. Zobaczył, jak generał cofnął się i wiedział już, że jego domysły były słuszne; Służba nie chciała aby sprawa ich śmierci nabrała rozgłosu, bez podjęcia kolejnych prób ich uratowania; a naciski na Baileya musiały być potężne. — Ile filtrów doleciało?

— Dwa zestawy – z trzydziestu! Ale strata człowieka i statku niczego tu nie zmieni. Odmówiłem już każdemu pilotowi, który jest w bazie. Pomimo tego piekła, jakie robi tu Waszyngton, potrzebowałbym co najmniej trzech sensownych powodów, dla których miałbym wybrać ciebie, zanim w ogóle o tobie pomyślę. Czy mam je?

Murdock zdał sobie sprawę, że powinien o nich pomyśleć, kiedy tu jechali.

— Po pierwsze, doświadczenie. Wykonałem niemal tysiąc lotów na trasie, na którą zostałem przydzielony — powiedział, nie czyniąc nawet wysiłku, aby ukryć zgorzknienie, które wkradło się do jego głosu. — Czy któryś z twoich pistoletów wykonał już chociaż setkę?

Bailey pokręcił głową.

— Nie.

— A co powiesz o umiejętności samodzielnego działania, i bez pomocy pilota automatycznego? W takich nieprzewidywalnych sytuacjach nie można zaufać maszynom, a nie ma czasu na pomoc od innych członków załogi.

Połączenie rozwoju techniki statków i trudności w zdobyciu załogi na trasę śmieciową, spowodowało, że Murdock już od niemal pięciu lat przez większość czasu latał sam. Zobaczył, że Bailey uniósł do góry dwa palce i szukał w myślach czegoś, co mogłoby przeważyć szalę. I znowu w jego głosie dało się słyszeć zgorzknienie.

— Po trzecie, koszty. Co znaczy jakiś tam śmieciarz i jego stary statek w porównaniu do wspaniałych nadziei na przyszłość?

— O dwóch pierwszych argumentach, myślałem już wcześniej. Są właściwe. Trzeci, nie. — Bailey wypełnił do połowy swoją szklaneczkę i popatrzył przez jej zawartość. — Mogę mieć mnóstwo pilotów, Tom. A jak do tej pory, nie udało mi się znaleźć innego godnego zaufania śmieciarza, jak to nazwałeś – i to przez piętnaście lat! Musisz się bardziej postarać.

Stopy Sheili ostro stuknęły o podłogę.

— Czy po piętnastu latach wykonywania roboty, której nikt inny nie chciał wziąć, nie wydaje się panu, że Tom ma pewne prawo do przysługi od pana? Czu nie jest to dostatecznie dobry powód?

Bailey przesunął na nią wzrok, z zaskoczeniem na twarzy. Przez dobre pół minuty przyglądał się jej badawczo, a potem powoli skinął głową.

— Mój Boże, pani naprawdę chce, żeby on leciał! — stwierdził w końcu. — Myślałem... Nieważne. Albo może tak. Może chcę, żeby mnie przekonano. No dobrze, Tom, rozładujemy twój statek i załadujemy na niego filtry. Mam wybrać ci jakiegoś ochotnika do załogi?

— Polecę sam — odparł Murdock. Im mniej ludzi będzie ryzykować, tym lepiej, a i tak przez pierwszych kilka krytycznych mil lotu, nie będzie czasu na niczyją pomoc. — I zostawcie te maszyny na pokładzie. Wasze filtry są duże, ale mało ważą. Z tego, co widziałem dzisiaj, statek mniej się będzie kołysał pod pełnym obciążeniem. Lepiej wystartuję z tym balastem.

Bailey sięgnął po telefon i zaczął wyrzucać z siebie rozkazy, zaś Murdock odwrócił się, żeby pożegnać się z Sheilą. Uczyniła to łatwiejszym niż się spodziewał.

— Zaczekam tu na ciebie — powiedziała mu. — Kiedy wylądujesz z powrotem, będziesz potrzebował ciężarówki. — Pocałowała go ponownie, szybko, a potem odepchnęła od siebie. — Idź już, teraz nie masz dla mnie czasu.

Miała co do tego rację, wiedział o tym. Ruszył biegiem do Kontroli Lotów, zaskoczony, kiedy koło niego zatrzymał się kryty jeep. Nagle włączyły się światła, pokazując przez mrok rozmyty kształt Mollyann, z podążającymi w jej stronę ciężarówkami i ludźmi.

Wysłał do nich kierowcę jeepa z poleceniem, aby dopilnował obrócenia podstawy rakiety, tak by skrzydła trzeciego członu ustawione były krawędzią do wiatru. W Kontroli Lotów wszystko było zdezorganizowane. Ludzie, ciągle oszołomieni snem, wpatrywali się w niego z niedowierzaniem. Ale zgodzili się, aby przygotować obwód, który da mu połączenie, przez ekran wizyjny statku, z radarem pogodowym. Słowa Collinsa, przez telefon, były bardzo nieprzyzwoite, a głos zatroskany, ale niemal natychmiast zrozumiał, co mu jest potrzebne.

Kiedy jeep podwiózł go do statku, Mollyann szarpała się na linach mocujących; usunięcie lin będzie ostatnią czynnością przed startem. W pobliżu czekało kilka traktorów, i pobiegł do niego Bailey, wymachując ręką w górę i krzycząc coś o obracaniu statku.

Murdock wzruszył ramionami. Nie spodziewał się, że w tej bieganinie w ostatniej chwili, wszystko pójdzie gładko; jeśli musiał lecieć obrócony w złą stronę, to musiał.

— W porządku, dajcie sobie z tym spokój — stwierdził. — Nie możecie go obrócić. Nie ma sprawy, dam sobie radę.

— Popatrz tylko — powiedział mu Bailey, ze zmęczonym uśmiechem na twarzy, powtórnie wskazując ręką w górę. — Tak jak jest teraz ustawiony do wiatru, będzie idealnie. Po przygotowaniu wszystkiego, sprawdziliśmy to, i było tak jak trzeba.

Mówił prawdę i Murdock zaklął mocno na swoją głupotę, że tego wcześniej nie sprawdził. Wielkie skrzydła już były ustawione równolegle do wiatru, oszczędzając im cennego czasu. Pozostawiało to nadal na łasce wiatru płaty sterujące wyższego stopnia, ale te były krótsze oraz grubsze i dlatego znacznie mocniejsze.

Przenośna winda transportowała na górę paki z filtrami. Wszedł na stopień drabinki, gdzieś blisko niego błysnął flesz aparatu, i zaczął

wchodzić na górę. Usłyszał jakiś okrzyk fotografa, ale teraz nie było czasu na pozowanie, a w każdym razie nie wyglądał najlepiej do zdjęć. Na to będzie czas po powrocie, a przynajmniej miał taką nadzieję.

Sprawdził załadunek filtrów i upewnił się, że zostały wystarczające dobrze zamocowane, aby dolecieć na miejsce, nawet jeśli właz śluzy powietrznej zostałby wyrwany. Odpowiedzialny za to technik pokazał mu dodatkowe uchwyty, które zainstalowali na zamku włazu, zaklinając się że wytrzymają one wszystko, co tylko może się wydarzyć. Wyglądały w porządku. Tu, na górze statek wyraźnie kołysał się i szarpał i słychać było skrzypienie lin mocujących. Próbował nie zwracać na to uwagi, wchodząc po małej drabince do kabiny sterowniczej i zaczynając końcowe sprawdzenia. Gdy połączył się z Kontrolą Lotów, z głośnika zaczęły wydobywać się ciągłe krzyki, ale nie zwracał na nie uwagi. Po piętnastu latach, nie potrzebował, aby mówili mu, kiedy nadejdzie dokładna chwila do idealnego statku. Siadając w fotelu anty-przeciążeniowym przed pulpitem ręcznego sterowania, które tworzyły razem jedną całość, ustawiającą się jednakowo przy zmieniających się przyśpieszeniach, sprawdził czy na ekranie widzi obraz z radaru pogodowego.

Radar pogodowy stanowił jego największą nadzieję. Teraz lata jego nauki powinny się zwrócić i dać mu przewagę, której potrzebował. To może wyglądać bardzo odważnie, wystartować w ułamku sekundy, a potem zmagać się ze wszystkim, co przyniesie pogoda, ale on wolał zrobić to na swoich własnych warunkach, jeśli tylko będzie to możliwe. Przy odrobinie szczęścia, może uda mu się dostrzec możliwość wydostania się w górę bez tych szarpnięć i przechyłów w pierwszych sekundach.

Spojrzał na chronometr i zaczął się przypinać, próbując jednocześnie przyswajać sobie dane o burzy, wysyłane mu na słuchawki przez Collinsa. Meteorolog pracował, wykorzystując kilka ekranów, i mogły mu one dać lepszy obraz ogólny, niż ten jeden, który on widział on.

Powoli zaczął się w to wszystko wczuwać. Wiatr, w tej odległości od środka huraganu, był nieregularny; pojawiały się chwile względnego spokoju, i możliwe były pewne sposoby przewidywania jego siły, na podstawie wzorca widocznego na ekranie. Prawdziwą sztuką przy starcie, było wykorzystanie każdej możliwej przerwy. Kiedy zacznie się już wznosić, będzie musiał zaufać automatycznym odruchom, które w sobie rozwinął i ogólnemu planowi, opracowanemu przez niego na podstawie wielu lat czystej teorii, z małą pomocą zdrowego rozsądku. Do tej chwili jednak mógł korzystać ze swego mózgu, aby uczynić lot jak najłatwiejszym.

Nie miał zamiaru traktować tego co nastąpi, jako wyzwania osobistego. Dzieci na stacji i świnie na farmie zainteresowane były efektami, a nie pokazami odwagi.

Głos Collinsa ucichł i Kontrola Lotów poinformowała go, że załadunek został zakończony i wszystkie windy, ciężarówki i ludzie oddalili się od statku.

Położył jedną rękę na przełączniku, który miał jednocześnie odrzucić wszystkie liny mocujące. Drugą zaś uruchomił pompę utleniacza do paliwa i przerzucił włącznik odpalający rakiety. Usłyszał jęczenie pomp i poczuł

jak przez statek zaczyna przepływać moc, ale utrzymywał ją na minimum. Wzrok utkwiony miał w ekran pogodowy, pokazujący mu kiedy nadejdzie chwila dająca największe szanse. Kontrola Lotów zaczęła szaleć. Ponieważ ich odliczanie już się zakończyło, chcieli żeby startował! Niech ich diabli! Parę sekund różnicy w chwili startu zawsze będzie mógł później skorygować.

Potem jego dłoń nacisnęła do maksimum dźwignię ciągu głównego, ułamek sekundy po odrzuceniu lin mocujących. Mollyann skoczyła na wolność i zaczęła wchodzić po schodach na szczudłach, trzęsąc się i chwiejąc na wietrze. Ale jego wybór chwili startu był poprawny. Przez pierwszych pięćset stóp zachowywała się dobrze, chociaż wiatr odepchnął go w bok, od stanowiska startowego.

Potem zaczęło się piekło. Przyśpieszenie wcisnęło go w fotel i tylko dzięki mięśniom wyrobionym podczas tysiąca poprzednich startów mógł wytrzymać siłę, której użył. Jego palce i ręce ledwie mogły się poruszać pod jej naciskiem. A jednak musiał nimi pracować na urządzeniach sterowniczych. Statek wykręcał się i przechylał, każda płyta poszycia jęczała w mękach, skręcana i gięta przez działające siły. Jakoś, automatycznie, jego palce znajdowały kombinacje ustawień przełączników, które go wyrównywały. Uszy wypełniało mu ciężkie walenie krwi, jego poczucie równowagi zostało zamrożone, a oczy ledwie były w stanie skupić się na znajdujących się przed nim tarczach przyrządów.

Wyłączył normalne myślenie i stał się maszyną. Statek obracał się szaleńczo w wirującym chaosie zmian ciśnienia. Jakoś dziwnie, on sam pozostawał nieruchomy, zaś jego ręce żyły swoim własnym życiem. Paliwo wyciekało ze zbiorników w tempie, które powinno doprowadzić go do utraty przytomności. To było marnotrawstwo, ale jego jedyną szansą było przedostanie się przez burzę w najszybszym czasie, a potem myślenie o konsekwencjach. Jeśli uda mu się dolecieć na stację, dostanie dodatkowe paliwo na lot powrotny.

Nawet nie próbował wznoszenia się po normalnej krzywej. Czerwone lampki na przyrządach wisiały mu cały czas mgiełką przed oczyma. Statek za szybko nabierał wysokości, rozgrzewając kadłub. Jednak musiał zaryzykować.

Potem, zaskakująco, statek zaczął się stabilizować. Wzbił się ponad burzę.

Zredukował moc do normalnej, czując powrót myślenia i słuchu i zaczął zakrzywiać lot, aby oblecieć Ziemię i ruszyć ku swemu celowi, znajdującemu się po jej drugiej stronie i tysiąc mil w górze. Mógł wykonać tylko kiepską imitację krzywej synergii, ale przetrwał! Poczuł jak odpada wielki pierwszy człon, po czym nastąpił krótki moment bez ciągu, dopóki nie zaryczał silnik drugiego członu. Przejście przez burzę zajęło mu tylko niewiele ponad minutę, a jemu zdawało się, że minęły godziny męczarni.

W słuchawkach zaczął krzyczeć jakiś głos, ale nie zwracał na niego uwagi. Teraz nadeszła jego szansa na powiedzenie czegoś heroicznego, wygłoszenie jakiegoś żartu, który zabrzmi niesamowicie zawadiacko!

— Zamknijcie się, do diabła! Ze mną wszystko w porządku! — wrzasnął do mikrofonu. Jak miał wymyślić odpowiednią mowę dla gazet,

kiedy nie dają mu spokoju? Wtedy powoli uświadomił sobie, że właśnie im odpowiedział i że już za późno na wymyślanie gładkich słówek.

W końcu odstrzelony został drugi człon i trzeci poleciał dalej już samodzielnie. Wprowadził zgrubne korekty dla swojego nietypowego startu, mając nadzieję, że nie przestrzeli zbyt dużo, podczas gdy druga dłoń czekała aż będzie mógł wyłączyć całą moc i lecieć siłą rozpędu. Potem rozłożył się na plecach, z wdzięcznością przyjmując stan nieważkości. Zaczął się teraz trząść, a jego całe ciało zdawało się być pokryte masą siniaków i stłuczeń, których nawet nie pamiętał skąd się wzięły. Pot płynął mu po czole, a na ramionach pojawiła się gęsia skórka. Ledwie udało mu się dotrzeć do malutkiego przedziału i zwymiotować, nie rozpryskując wszystkiego na całą kabinę.

Nędzny był z niego bohater. Jedyną muzyką, jak płynęła mu w głowie było dzwonienie w uszach i łomotanie serca!

W dodatku podróż na górę, była łatwiejszą częścią jego zadania. Musiał jeszcze zwieźć swój ładunek na dół, szybując bez silników przez burzę, która będzie bliżej swego najgorszego momentu. Inaczej cały lot będzie dla niego bezużyteczny, niezależnie od tego ilu ludzi uratuje.

Kiedy jednak w końcu wyrównał orbitę ze stacją, niemal zupełnie wrócił już do siebie. Na ile był w stanie to określić, jego skrzydła i stabilizatory były ciągle w porządku, a ciśnienie powietrza w przedziale ładunkowym wskazywało, że nic tam się nie działo. Po wykonaniu ostatnich poprawek, pozostało mu jeszcze nawet parę kropel paliwa. Przynajmniej wykonał dobrą robotę, pilotując wznoszenie się rakiety.

Przy odrobinie szczęścia, mógł sprowadzić Mollyann na dół nietkniętą. Ale będzie potrzebował do tego tej odrobiny szczęścia!

Rozdział IV

Wielka, złożona z kliku rur konstrukcja, w jaką rozrosła się stacja, wyglądała niemal normalnie, w jasnym świetle słonecznym. Ale po ludziach, którzy wylecieli z niej w małym promie kosmicznym, nawet w radosnej chwili na widok filtrów, widać było oznaki powolnego postępu trucizny, na którą byli wystawieni. Kiedy przygotowali szczelne połączenie właz do włazu i otworzyli pokrywę swojego, zapach ich powietrza był zdecydowanie nieprzyjemny. Musieli raportować swój stan, jako zdecydowanie lepszy, niż był w rzeczywistości.

Komandor Phillips przeszedł przez właz jako pierwszy, niemal płacząc, kiedy ściskał dłoń Murdocka. Widać było, że kompletnie zabrakło mu słów.

— Cześć, Red — przywitał go Murdock. Phillips chodził z nim do jednej klasy, piętnaście lat temu. — Jak tam dzieciaki?

— Shapiro mówi, że wszystko będzie z nimi w porządku, kiedy tylko dostaniemy parę filtrów nie pokrytych warstwą brudu. Tommy, zaprosiłbym cię natychmiast na szampana, ale nasze powietrze i tak by zepsuło całą imprezę. Posłuchaj, wszystko co mam…

Murdock przerwał mu.

— Będziemy kwita, jeśli jak najszybciej zabierzecie mój ładunek i dacie mi moje zwykłe cargo oraz trochę paliwa. I może któryś z waszych inżynierów popatrzył by na moje skrzydła, szukając jakichś oznak uszkodzeń. Muszę lecieć na dół, przy następnym przejściu po orbicie, to jest za dwie godziny.

— Lecieć na dół, w tamtą zupę? Zwariowałeś chyba! — Szok usunął z twarzy Phillipsa wszystkie inne uczucia. — Nie możesz tego zrobić! Nie dam ci pozwolenia!

— Wydawało mi się, że właśnie przed chwilą oddawałeś mi wszystko, co masz! — zauważył Murdock.

Zaaranżowanie tego zajęło kolejne pięć twardej dyskusji, i pewnie mu się by nie udało, gdyby komandor miał czas ochłonąć trochę z pierwszej fali wdzięczności, albo gdyby nie był on tak bardzo oszołomiony przez zatrute powietrze i zmęczony rozpaczliwą walką o przetrwanie. Phillips zachrypł i był chory, kiedy w końcu poddał się i pokuśtykał z powrotem do wyładowanego promu. Wychrypiał coś o głupocie ludzkiej i wdzięczności, a potem odleciał. Murdock próbował, czekając, trochę się odprężyć, ale w tej chwili, coraz bardziej zajmowały go głodne świnie.

Był za bardzo zajęty, żeby mieć czas na zmartwienia. Zaczęło napływać paliwo razem z kanciastymi, magnezowymi puszkami z odwodnionymi śmieciami. Chorzy ludzie wykrzesali jakoś z siebie ostatnie resztki energii, uważnie rozkładając ładunek, aby zachować wyważenie statku. Z zewnątrz dobiegało nieustanne stukanie i pukanie, kiedy inni przy pomocy przyrządów, sprawdzali poszycie sterów.

Na koniec, kolejna wizyta Phillipsa i dalszy ciąg dyskusji. Ale ostatecznie, tamten ponownie ustąpił.

— No dobrze, niech to diabli. Może rzeczywiście uda ci się to zrobić. W każdym razie mam nadzieję, że tak. Ale nie puszczę cię samego. Zabierzesz ze sobą Henningsa jako drugiego pilota. Zgłosił się na ochotnika.

— No to, przyślij go tutaj — ze zmęczeniem odparł Murdock. Powinien się spodziewać czegoś takiego. Hennings widocznie reagował na woń chwały, jak koń bojowy na zapach prochu.

Rzucił okiem na ładunek, kiwając głową z satysfakcją. Miał wystarczająco dużo odpadów, aby utrzymać działanie farmy, dopóki nie wyjdą z dołka. Jeśli Barr wróci i będą mogli je wzbogacić komercyjną paszą, na chwilowy kredyt, to Pete i on powinni wyjść na prostą. Obrócił się i wciągnął się do kabiny sterowniczej, akurat by zobaczyć podlatujący z ostatnim kursem, prom.

Minutę później, we włazie łączącym pojawił się Hennings i zamknął go na zamek.

— Cześć, Tommy — zawołał. — Ach, znowu czyste powietrze. Nie masz nic przeciwko temu, żebym to ja sprowadził statek na dół, co? Wyglądasz na trochę poobijanego.

— Pilot automatyczny jest odłączony — powiedział mu krótko Murdock. Zaczął kiepsko działać jakieś dwadzieścia lotów temu i po prostu odłączył go od sterów, ponieważ i tak rzadko go używał.

W ruchach młodszego mężczyzny pojawiła się lekka sztywność. Zatrzymał swój marsz w stronę sterów i popatrzył na nie z powątpiewaniem. Prawdę mówiąc na etapie lotu na dół, niewiele było automatycznego pilotowania, ale piloci byli uwarunkowani, aby myśleć o automatyce niemal ze czcią, jako o najważniejszej rzeczy na statku. Pochodziło to z czasów, kiedy loty na orbitę były niemal fizycznie niemożliwe bez takiej pomocy, i przez pierwszych pięć lat swej pracy jako pilota, Murdock czuł to samo.

— Lepiej się przypnij — zasugerował.

Hennings opadł na fotel drugiego pilota, podczas gdy Murdock wykonywał ostatnie sprawdzenia. Zaszumiały żyroskopy i statek zaczął się lekko przekręcać, ustawiając się do odpalenia silników.

— Dziesięć sekund — obwieścił Murdock.

Odliczył je w głowie, a potem łagodnie nacisnął dźwignię ciągu. Zaczęli tracić szybkość i opadać w stronę ziemi, podczas gdy stacja płynęła swoim torem, coraz bardziej się oddalając.

Potem, z wyłączonymi silnikami, nie było nic do roboty, poza przyglądaniem się temu, co się zbliża. W Bazie ciągle będzie panowała noc i nawet lampy sodowe i naprowadzanie radarowe nie będzie w sztormie tak dużą pomocą, jak powinno. Tym razem będą musieli polegać na skrzydłach, jak przy normalnym lądowaniu samolotu. Jeśli już o tym mówimy, byłoby to trudną sprawą dla każdego samolotu, chociaż całkiem możliwą, przy maszynie o mocnych silnikach. Oni jednak będą musieli schodzić na dół jak szybowiec. Jeżeli w skrzydłach pozostały jakieś niewykryte uszkodzenia…

— Przyleciałeś na górę bez taśmy? — nagle spytał Hennings.

Murdock wykrzywił się, zły na przerwanie swoich rozmyślań. Wolał już Henningsa jako próżnego bohatera, niż jako zatroskanego młodego człowieka.

— Taśma nie nadaje się na tak nieprzewidywalne warunki.

— Okej, jeśli tak mówisz — stwierdził młodszy mężczyzna z powątpiewaniem w głosie. Siedział, wpatrując się w stery, z dziwnym wyrazem twarzy. Potem, ku zaskoczeniu, roześmiał się i rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu. — A więc, myślę, że pewnie mnie w ogóle nie potrzebujesz.

W pięć minut później już chrapał. Murdock popatrzył na niego groźnym wzrokiem, początkowo podejrzewając, że udaje. W końcu jednak wzruszył ramionami i wrócił do swoich spraw. Zdawał sobie sprawę, że przy starcie wykorzystał już całkiem sporą dozę swojego szczęścia, pomimo wszystkich swoich uważnych przygotowań. Nie mógł polegać na szczęściu przy lądowaniu.

Mógł ciągle jeszcze wysłać wezwanie alarmowe i, przynajmniej w teorii, poprosić o możliwość lądowania na jakimś dużym lotnisku, poza obszarem huraganu. Nic by mu to jednak nie dało. Hulda pokrywała zbyt duży teren; każde inne lotnisko było tak daleko od farmy, że przewóz śmieci ciężarówką nie wchodziłby w rachubę. Równie dobrze mógł zostać na stacji. Poza tym, wszedł już na orbitę hamującą, która miała

sprowadzić go na ziemię w pobliżu Bazy, i zmiana jej w chwili obecnej, byłaby ryzykowna sama w sobie.

Obserwował cienką mgiełkę na podejściu w wyższych warstwach atmosfery, próbując zmusić mięśnie do rozluźnienia i uspokoić nerwy. Najgorsza część trasy powrotnej, była okazją do wzmożonej nerwowości. Hennings spokojnie chrapał, lekko się unosząc w swoim fotelu drugiego pilota. Jego odprężenie w niczym nie pomagało Murdockowi.

Kiedy w końcu uderzył w pierwsze warstwy powietrza o wykrywalnej gęstości, w których stery zaczęły znowu działać i gdzie mógł przejąć nad nimi kontrolę, była to niemal ulga. Statek musiał być teraz nieustannie pilotowany, a jego zanurzanie się w atmosferę skoordynowane z utrzymywaną prędkością, aby uniknąć niebezpieczeństwa ponownego wyskoczenia w kosmos, a z drugiej strony pójścia zbyt nisko i przegrzania poszycia. Murdock skierował statek w dół, obserwując przyrządy, ale bardziej polegając na swoim wyczuciu Mollyann. Wyczuciu, które zaczęło powracać razem z szumem z zewnątrz, podczas gdy pirometr kadłuba ruszył w górę, wskazując, oddziałuje na nich tarcie, zmieniające ich szybkość w ciepło. Ta część lotu na dół, od teraz, odbywała się przy wykorzystaniu jego od lat wytrenowanych odruchów. Wiedział, że na zewnątrz, poszycie z wolna będzie się robiło coraz bardziej gorące, aż do chwili kiedy nie wytracą dostatecznie dużo prędkości, aby mogli zajść w niższe warstwy powietrza, w których z kolei będzie stygło.

Ciepło w kabinie również powoli się podnosiło. Mollyann była jednym z najstarszych wykorzystywanych modeli statków; jej kabina nie była tak dobrze izolowana i szczelna, jak w przypadku większości innych. Ale pomimo krótkiego okresu podwyższonej temperatury, była dosyć bezpieczna. Z wolna powietrze zaczęło przesiąkać lekkim zapaszkiem, który robił się coraz mocniejszy, kiedy ciepło kadłuba zaczęło promieniować do przestrzeni ładunkowej. Nawet tego nie zauważał, dopóki Hennings nie obudził się i nie zaczął wąchać nosem.

— Odpady — wyjaśnił mu Murdock. — Mają w sobie jeszcze wystarczająco dużo wody, żeby część się zagotowała. Przyzwyczaisz się do tego.

Teraz zagłębiali się w gęstsze warstwy powietrza i zaczął czuć pot na dłoniach. Pośpiesznie otarł je o mundur. Poczuł, że głowa mu puchnie, a w żołądek zaczyna zwijać się w supeł.

— Skontaktuj się z Kontrolą Lotów i niech prześlą mi pogodę — polecił Henningsowi.

Kiedy obraz mapy pogody wskoczył mu na ekran, poczuł się gorzej. W tej chwili nie było widać żadnego obszaru względnego spokoju, a nie mógł czekać, aż jakiś się pojawi. Próbował zapamiętać w głowie obraz pogody, podczas gdy tor ich zejścia wypłaszczył się i znaleźli się bliżej obszaru objętego burzą. Musiał skręcić i lecieć kursem wyznaczanym przez wiatr, kierując się pod niego. Oznaczało to, schodzenie po bardzo krętej krzywej, ponieważ w okolicy lądowiska było trochę lokalnych zaburzeń.

Wtedy zarejestrował pierwsze szarpnięcie. Statek zdawał się opadać i podskakiwać. Nie było teraz ciężaru przyśpieszenia, ale jego palce były ciężkie jak z ołowiu, niemalże za wolne, aby korygować stery. Mollyann

opadała i wznosiła się, a żołądek podchodził mu do gardła. Usłyszał jak Hennings łapie oddech, ale nie miał czasu aby na niego się obejrzeć. Górna warstwa burzy była morzem kipiących dziur powietrznych.

Obecnie sprawy będą się pogarszały z każdą sekundą. Parę ostatnich mil, będzie prawdziwym piekłem. Zejście nie było stabilne, wiry w przemieszczającym się sztormie wstrząsały i szarpały statkiem. Jego stosunek obciążenia do siły nośnej skrzydeł nie był zły, ale brakowało mu samo-korygującej konstrukcji, jaką miały lekkie samoloty, którymi latał. Skrzydła jęczały i wyginały się, a przyrządy wydawało się, że zamarły w miejscu. Był już na mapie pogodowej, biały punkt na ekranie, pędzący w pobliżu jej krawędzi. Dawało mu to orientację gdzie jest, ale widok dalszej trasy dawał niewielkie pocieszenie.

Wpadł w większą dziurę i zdawało mu się, że poleciał ze sto stóp w dół. Skrzydła zaskrzypiały straszliwie, a od strony tylnych płatów sterujących coś zajęczało. Stery wysokościowe gwałtownie go uderzyły, łapiąc go nieprzygotowanego, i musiał zaprzeć się i walczyć z nimi z całej siły. Ewidentnie poszło wspomaganie. Prawdopodobnie coś się stało podczas startu. Do walki z prądami powietrza zostały mu więc teraz tylko własne mięśnie, działające na mechaniczne linki. Jeśli to nie wystarczy…!

Pocił się, walcząc ze wstrząsami. Pomimo jego wszelkich wysiłków, przechylali się teraz bardziej. Nadeszło kolejne gwałtowne uderzenie, po którym rozległ się huk i skrobanie w części ładunkowej. Statek utracił wyważenie. Część puszek musiała się urwać z uchwytów i latały po całej ładowni!

Zobaczył, że Hennings zrywa się z fotela i próbuje dostać się do włazu. Krzyknął z gniewem, wiedząc, że głupiec zabije się wpadając w to kotłowisko tam na dole. Nie miał czasu tym się martwić, a mocny smród powiedział mu, że chłopak już przeszedł przez właz. Walczył o utrzymanie równego lotu statku, ale nie było sposobu na to, aby przewidzieć jego zachowanie. Mięśnie miał przeciążone i nie mógł operować sterami tak delikatnie, jak powinien. Teraz lądowisko było już tylko kilka mil przed nim i musiał jakoś przebić się i przecisnąć przez wiatr, żeby zmieścić się w obrębie pasa do lądowania. Żeby było gorzej, prędkość wiatru była chyba wyższa niż ją oceniał i musiał stracić więcej prędkości, niż mógł sobie na to pozwolić. Będzie bardzo blisko, jeśli w ogóle mu się uda.

Wtedy statek zaczął się stabilizować i poczuł, że odzyskał wyważenie. Miał czas wyłącznie na jedno krótkie westchnienie ulgi, kiedy Hennings wrócił na górę, ociekając potem oraz smrodem odpadów i przecisnął się z powrotem do swojego fotela. Murdock próbował mu podziękować, wiedząc że zejście do ładowni wymagało ogromnej odwagi. Ale Hennings skupił całą swoją uwagę wyłącznie na mapie pogodowej.

Pas do lądowania zbliżał się do nich, ale niewystarczająco szybko. Utracili za dużo prędkości przez opór wiatru. Murdock próbował spłaszczyć tor szybowania, ale w końcu musiał się poddać. Byli już tak blisko granicy przesterowania, jak tylko Murdock ośmielał się zaryzykować w tych warunkach, a ciągle brakowało im mili do lądowiska! Wylądują i rozbiją się na drzewach, skałach i może nawet domach, które są tam pod nimi!

Murdock zaklął i chwycił za dźwignię ciągu. Nie było czasu, żeby właściwie rozgrzać silnik, ale musiał nabrać większej prędkości.

Zanim jego dłoń pociągnęła za dźwignię, usłyszał głos Henningsa, który wykrzyknął jedno wstrząśnięte słowo. Z tyłu rozległ się ryk, na ułamek sekundy, i statek szarpnął się do przodu. Ogromna moc silników, nie była przeznaczona do drobnych korekt prędkości, a nie było sposobu, żeby ją poprawnie odmierzyć, a jednak była to jedyne możliwe rozwiązanie. Wyłączył ciąg, a następnie użył go ponownie na ułamek sekundy. Potem przerzucił rękę z powrotem na dźwignię sterów wysokości, walcząc z nimi, aby odzyskać stabilność.

Nie mógł zaryzykować nabrania większej prędkości. Jeżeli nie dolecą, będą zgubieni. Ale jeżeli ich szybkość będzie za duża, nie będzie drugiej szansy na lądowanie. Nie mogą zawrócić i zatoczyć kręgu w burzy. Jedynym sposobem był lot prosto pod wiatr i balansowanie statkiem, aby uniknąć prądów poprzecznych. Za lądowiskiem był ocean, a te nowoczesne statki, nie były zbudowane aby nimi wodować – a już szczególnie na morzach, które nieustannie się poruszają.

Pochwycił wzrokiem żółty błysk. Markery lądowiska! A on był za wysoko. Rzucił się ciężarem całego ciała na oporne stery i poczuł, że statek zaczyna schodzić niżej. Nabrał za dużo wysokości przy tym pierwszym krótkim uderzeniu ciągiem, ale musiał jakoś natychmiast lądować.

Mógł teraz dostrzec parę flar i trzeba było jakoś między nie wcelować. Kopnięciem wypuścił podwozie i gwałtownie przydusił statek. Już minął bliższy kraniec pola. Byli za daleko!

Nagle koła uderzyły o podłoże. Statek podskoczył, porwany od dołu przez wiatr, który zaczął nim lekko obracać. Po chwili uderzył ponownie, a Murdock walczył z hamulcami i sterami, aby to wyrównać. Mollyann zatoczyła się, zakołysała i pomknęła gwałtownie po pasie. Przed nimi bariera zabezpieczająca na końcu pasa, zaczęła rosnąć w żółtym świetle. Dziesięć stóp… kolejne dziesięć…

Murdock poczuł, że statek uderza w barierę i odbija się od niej. Ledwie zdążył poczuć ulgę, że ich prędkość była już za mała, aby się rozbili, kiedy jego głowa uderzyła o pulpit ze sterami, a przed oczyma eksplodował mu deszcz gorących iskier, który powoli rozpłynął się w czerni.

Przez kilka chwil miał mglisty okres na wpół-świadomości, po tym, jak uświadomił sobie, że Hennings wynosi go ze statku, deszcz leje na niego strugami, a uszy wypełniają mu odgłosy wichury. Rozbłysło jakieś jasne światło i przed oczyma stanęło mu zdjęcie, które ktoś musiał właśnie zrobić: Hennings wynoszący nieprzytomne ciało z Mollyann – niezniszczalny Hennings, odporny na wszystkie wypadki, wyprostowany, walcząc z naporem burzy, maszeruje prosto na fotografa, uśmiechając się lekko…

Kolejny mglisty okres, w którym wydawało mu się, że słyszy głosy Sheili i Baileya. Ukłucie igły…

W końcu wypłynął na powierzchnię chmury ciemnego puchu. Poczuł tępy ból w głowie i siniaka po uderzeniu. Kiedy otworzył oczy, poraziło go światło, i natychmiast zamknął je z powrotem. Zdążył jednak zauważyć,

że leży na tapczanie w sali wypoczynkowej. Musiało to oznaczać, że na szczęście nie miał wstrząsu mózgu; to było tylko walnięcie głową, połączone ze stanem najwyższego napięcia i zmęczenia nerwowego.

Z dworu dobiegał szmer mieszających się głosów i łomotanie, tak jakby w budynek. Zaczął się podnosić, żeby zobaczyć co było jego powodem, ale to był jak na razie dla niego za duży wysiłek. Zaczął odpływać ponownie w na wpół sen, kiedy usłyszał kroki i głos Henningsa.

— …absolutnie wspaniałe, panno Crane! Nigdy tego nie zapomnę. Nawet nie próbował dowcipkować, dla pokrzepienia ducha. Po prostu siedział tam, bez śladu napięcia, tak jakby wykonywał zwykły prosty lot. Ani mu nie drgnęła powieka, kiedy zdecydował się użyć ciągu silników. Słowo daję, on był jak jeden z tych bohaterów z seriali dla dzieci, które kiedyś oglądałem. A ten nędzny reporter napisał, że to ja sprowadziłem statek na dół. Jak go znajdę…

— Daj spokój, Larry — spokojnie powiedział głos Sheili.

— Nie, nie zostawię tak tego! Wystarczającym skandalem było obcięcie informacji o starcie do jednej czwartej kolumny i określenie tego jako chwilowe uspokojenie burzy. Tym razem, jednak, mam zamiar dopilnować, aby opisali wszystkie fakty!

— Dzięki temu będą mieli kolejny artykuł o tym, jak skromnie próbujesz przypisać swoje zasługi, komuś innemu — spokojnie odpowiedziała mu Sheila. — Niech tam sobie piszą co chcą. To nie zmieni faktów, które przecież wszyscy znamy. A Tom nie dba o to za bardzo. Przyzwyczaił się do tego, jak wyglądają sprawy.

Murdock ponownie otworzył oczy i usiadł, przerywając ich rozmowę. Ciągle czuł się jak pijany, ale po chwili wzrok mu się wyostrzył. Uśmiechnął się do Sheili i pociągnął ją, aby usiadła koło niego.

— Ona ma rację Hennings. Niech tam sobie wypisują, co im się żywnie podoba. Tak, jak to pewnie opisali, to dobra reklama dla służby. A poza tym, ty też miałeś swój udział. — Wyciągnął rękę w stronę młodszego mężczyzny, świadomy, że nawet tego nie potrafił zrobić z odpowiednią gracją. — Umocowanie ładunku, w tamtych warunkach, wymagało naprawdę odwagi. Chciałem ci za to podziękować.

Hennings wymamrotał coś niezgrabnie, a potem wyprostował się, wchodząc w swoje dawne ja, i wyszedł za drzwi, żeby zostawić ich samych. Sheila posłała z nim uśmiech, z mieszaniną czułości i rozbawienia.

— Czy coś się stało Mollyann albo ładunkowi? I co tam słychać na farmie? — spytał ją Murdock chwilę później.

— Zgodnie z ostatnimi informacjami, farma jest zupełnie bezpieczna — odparła. — A statek jest trochę poobijany, ale nic poważnego. Generał Bailey wysłał kadetów, żeby przeładowali cargo na twoją ciężarówkę. Powiedział, że trochę wąchania śmieci im nie zaszkodzi. — Znowu się uśmiechnęła, a potem spojrzała na zegarek. — Powinien być już z powrotem, jeśli już o tym mówimy.

Murdock uśmiechnął się cierpko. To wstyd, że świnie nigdy się nie dowiedzą, jaką uwagę wzbudziła ich karma. To musiało być bardzo interesujące, zobaczyć kadetów ćwiczących swoje bohaterstwo przy

rozładunku śmierdzących puszek. Wyjrzał przez okno, ale deszcz lał za mocno, aby było dobrze widać. Ktoś przebiegł koło budynku, a z dworu dochodziły kolejne walenia i szmer aktywności, ale najwyraźniej nie miało to nic wspólnego z powrotem generała Baileya.

Minęło pięć minut, kiedy generał znalazł się w pomieszczeniu. Podszedł, żeby spojrzeć na Murdocka.

— Twoja ciężarówka czeka już na dworze, Tom. I nie pokazuj mi się tu z powrotem, nie ubrany w przepisowy mundur! — zachichotał. — Z orłami na kołnierzyku. Próbowałem wykłócić się o nie dla ciebie, już od dłuższego czasu. Gratulacje, panie pułkowniku. Zasłużyłeś sobie na to!

Murdock ściskając rękę Baileya, przyciągnął mocniej do siebie Sheilę, czując jej ciało opierające się o niego. Były też inne sympatyczne rzeczy – słowa, które słyszał od Henningsa, sława i bezpieczeństwo, jakie dawała mu nowa ranga, świadomość, że nie zawalił roboty. Ciągle jednak czuł się niezręcznie i niezdolny do stanięcia na wysokości zadania. Nie próbował nawet tego zrobić, tylko w milczeniu pozwolił by Bailey skierował ich machnięciem ręki, w stronę drzwi.

Wtedy odwrócił się.

— Jest jeszcze jedna sprawa. To moje zgłoszenie do służby na Księżycu…

Poczuł jak oparta o niego Sheila na moment sztywnieje, a potem ponownie się rozluźnia, ale generała jego słowa kompletnie zastopowały.

W końcu Bailey skinął głową, z oporem.

— W porządku — oznajmił. — Niechętnie cię puszczam, Tom, ale wystawię ci moją rekomendację.

— Nie! — powiedział mu Murdock. — Podrzyj je. Mam za dużo świń, czekających na kolejne transporty odpadów!

Otworzył drzwi wyjściowe i zobaczył, że pod budynkiem czeka na niego wyładowana ciężarówka. Ruszył w jej stronę, ciągnąc za sobą Sheilę. Wtem nagle stanął, z rozdziawionymi z zaskoczenia ustami, widząc co spowodowało to całe to walenie, które słyszał leżąc w środku.

Nad drzwiami wyjściowymi zbudowane zostało prymitywne zadaszenie ze sklejki, prowadzące do ciężarówki. Wzdłuż niego stali rzędem wszyscy piloci, z Henningsem na początku, który podszedł i z gracją otworzył drzwi ciężarówki. Dokładnie w chwili, kiedy noga Murdocka dotknęła ziemi, orkiestra ryknęła melodią Marsza Bohaterów.

Czując się jak głupiec, Murdock ruszył kulejąc naprzód, niezgrabnie pomagając Sheili wejść do szoferki i zajmując fotek kierowcy, podczas gdy pięćdziesiąt par oczu wlepiało w niego wzrok. Hennings zamknął drzwi samochodu, ponownie z gracją, i cofnął się do szeregu.

I nagle Murdock wiedział już, co zrobić. Wychylił się przez okno ciężarówki, kiedy Sheila usadawiała się obok niego. Uśmiechnął się do pilotów, uniósł dłoń, przystawił kciuk do nosa i zamachał palcami.

Twarz Henningsa rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, a jego ręka uniosła się w takim samym salucie, zaś pięćdziesięciu innych pilotów powtórzyło jego gest ułamek sekundy później.

Murdock podniósł szybę do góry, a wielka ciężarówka ruszyła przez pole startowe, zmierzając do domu i do świń.

Orkiestra za nim ciągle grała, ale nie słuchał jej.

KONIEC